

GEORGES MEIRS.

# Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

5

— Przeniesiemy tego biedaka, a gdy się obudzi, dowiemy się może coś od niego. — odparł Wiliam Tharps.

W tej chwili mimowoli przypomniałem sobie, że markiz da Santa Cruza był jedynym człowiekiem, który pozostał na górnych piętrach, podczas kiedy wszyscy skupili się na dole.

## Zawsze on!

A więc z Ludoviciem Marmont mieliśmy znowu do czynienia. Uczułem w sobie dziwne zadowolenie na tę myśl. Walka z takim przeciwnikiem warta była zachodu i trudu.

Do tej pory wszelkie wysiłki policji francuskiej i cudzoziemskiej okazały się bezskuteczne w pochwyceniu tego króla awanturników. Opowieści, jakie w ostatnich czasach powstały i krążyły koło tej dziwnej, intrygującej postaci, wzrastały coraz więcej, zabarwione fantastycznością najżywszą.

Ludovic Marmont nie był przeciętnym typem zbrodniarza. Był to wytworny światowiec o inteligentnym i rozbudzonym umyśle i urodzie delikatnej i subtelnej. Przyjmowany był w najlepszych domach i znany zarówno w świecie oficjalnym, jak i w buduarach modnych piękności ówczesnych. Tego samego wieczora spotkać go było można na wykwinnym salonie damy z arystokracji, prowadzącego z ożywieniem i niebawym wdziękiem kotyliona, a w parę godzin później zabawiającego się wesoło w towarzystwie niebezpiecznych apaszów w nędznej knajpie na najbardziej osławionej ulicy przedmieścia.

Zręczny i ostrożny, umiał zawsze wyślizgnąć się w porę, kiedy groziło mu jakie niebezpieczeństwo i tak umiał zacierać wszelki ślad za sobą, że odszukać i przychwycić go, było wprost niepodobieństwem.

Sprawy, które operował umiejętnie, nigdy nie były bezowocne, a jeżeli kiedy spotkał się z porażką, przyjmował ją z ironicznym uśmiechem, układając już plany przyszłego odwetu.

Banda Ludovica Marmont była znaną powszechnie i wszędzie szerzyła postrach i zniszczenie. Po sposobie dokonania jakiego morderstwa, śmiałej grabieży lub szantażu, poznawano „robotę” tego nieprzeciętnego awanturnika. Jednakże mało osób znało go z powierzchowności.

Ludovic Marmont był mistrzem w artystycznym charakteryzowaniu się i umiejętnym zmienianiu swojej postaci.

Pomimo to udało się przeciw redakcyom pism niektórych pochwycić jego fotografię, którą ukazywały, ilekroć nowa jaka sensacyjna zbrodnia lub kradzież wzbudziła umysły publiczności.

Fotografia ta przedstawiała młodego człowieka o rysach regularnych i sympatycznych i dużych, ciemnych oczach, błyszczących wyrazistością i inteligencją. Usta małe, o rysunku bez zarostu, przybierały w uśmiechu wyraz nadzwyczaj pociągający, odślaniając dwa rzędy równych, białych zębów.

Ukazanie się fotografii Ludovica Marmont w dziennikach, przyczyniło się wiele do zbudzenia jego popularności.

W tym czasie, kiedy odwaga i zuchwałość były rzadkimi objawami, śmiały ten awanturnik nie mógł być banalną osobistością i sposób w jaki się zawsze przedstawiał publiczności, otoczył go aureolą bohaterstwa i ciekawości. Przez sposób, wykonania swoich zamachów, dokładność przeprowadzenia planów, niezachwianą pewność środków, którymi rozporządzał zawsze, wkońcu przez lekceważenie życia własnego i humor pogodny, łobuzerski, którym okraszał szatańską swoją działalność — stał się sympatycznym tłumom, żadnym sensacy i wrażeń.

Zdarzało się również, że ten niebezpieczny awanturnik umiał się zdobyć w chwilach fantazyi, czy chwilowego sentymentalizmu, na czyn szlachetny i wyrozumiałość, które łagodziły poprzednie jego przewinienia.

Kiedy dzienniki z oburzeniem ogłaszały nowy podstęp Ludovica Marmont, nowy „kawał”, zrobiony policji, cisi zwolennicy jego cieszyli się niewymownie. Przedstawiciele bowiem policji są widziani niechętnym okiem wśród sfer pracujących wielkiego miasta, gdzie wolność i swoboda osobista stała się już potrzebą konieczną ich duszy. Raz, kiedy dzienniki pod-

niosły, że Ludovic Marmont zamknął w swoim pokoju dwóch agentów, którzy przybyli aresztować go, a trzeciego, oczekującego na schodach, wysłał na ratunek kolegów i sam, powolnym krokiem, uśmiechnięty, oddalił się i znowu na czas jakiś ukrył się przed okiem władzy — uczyniono mu na ulicy owacy, wykrzykując radośnie jego imię.

Marmont zaś dbał o swoją popularność z zamiłowaniem aktora, który łaknie sławy i poklasków. Wiedział dobrze, czym tę publiczność wzruszyć, czym pobudzić do śmiechu i zadowolenia. Pewnego razu czyn niebawym śmiałości został dokonany w Paryżu. Wózek bankowy, wiozący ośmioro sto tysięcy franków do filii swojej, został w biały dzień na najruchliwszej ulicy porwany i ukryty bez śladu. Stangret i dwóch służących, towarzyszących tej wyśyce, zostali odstawieni do swoich mieszkań w stanie zupełnej bezwładności i oglupienia. Najmniejszej wskazówki nie było można od nich otrzymać. W tej sprawie, tak zręcznie przeprowadzonej, natychmiast upatrzone rękę Ludovica Marmont i już tego samego dnia, wieczorem, dzienniki podały do publicznej wiadomości, że policja jest już na śladzie przestępcy.

Jednakże nazajutrz nadeszła z Brukseli wiadomość od Ludovica Marmont, w której z gorzkimi wymówkami zwracał się do ówczesnego dyrektora policji, pana S., oznajmiając, iż wcale się nie przychylił do owej kradzieży i gdyby ją był wykonał, to w sposób zręczniejszy jeszcze od nieznanego sobie kolegów. Wszystkie dzienniki otrzymały kopię tego sprostowania ku wielkiej ucieście czytającej publiczności.

Tego samego zaś dnia, w którym pojawiły się te publikacje, do biura dyrektora policji, pana S., zgłosił się młody człowiek, przedstawił się jako detektyw amator i przyrzekł stanowczo odnalezienie owych skradzionych worków złota. Jakimi argumentami zdołał on przekonać szefa policji i pozyskać jego zaufanie, tego niewiadomo. Stało się jednak rzeczą pewną i dowiedzioną, że pan S. wydał mu natychmiastowe pozwolenie działania i po upływie dwudziestu czterech godzin prawdziwi przestępcy pochwyceni zostali i wydani władzom.

Miejsce zaś, gdzie złoto było ukryte, zostało wskazane przez owego usłużnego, młodego człowieka, dla którego dyrektor policji nie miał słów uznania i wdzięczności. Lecz kiedy do tego miejsca przybyli wysłani ajenci, znaleźli tylko kilka worków próżnych. Na jednym z worków przytwierdzony był list. Podpisany był przez Ludovica Marmont i zawierał jego fotografię.

W grzecznych, lekko ironicznym słowach dziękował on dyrektorowi policji za pomoc, okazaną w odszukaniu skradzionych worków i ofiarowanie mu za te trudy tak poważnej sumy, bardzo mu chwilowo potrzebnej i w dowód wdzięczności załączał swoją podobiznę, prosząc o pamięć!

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywołała ta niezwykła przesyłka.

Fotografia, ofiarowana tak zuchwale dyrektorowi policji, została reprodukowana w licznych egzemplarzach i zakomunikowana prasie i wszystkim biurkom komisariatów miejscowych i zagranicznych. Lecz pomimo tak poważnego ułatwienia, danego przeciwnikom, zuchwały awanturnik pochwycenym nie został.

Ten to niepokonany nieprzyjaciół, zręczny i przebiegły, wypłynął teraz w sprawie mordu i kradzieży, dokonanej w pensjonacie „Donay”.

Widok biletu z nazwiskiem Ludovica Marmont, przyczepionego do ubrania uśpionego agenta, nie zdziwił zbytnio Wiliama Tharpsa. Był on do tego rodzaju sztuczek przyzwyczajony, Marmont nie działał nigdy skrycie i lubił zaznaczać swoje przejście, otwarcie występując do walki.

Domysły Wiliama Tharpsa sprawdzały się teraz. Śmierć młodego lokatora pani Donay, nienaturalne zniknięcie jego zwłok, następnie kradzież papierów profesora Schoetten, wszystko to wskazywało, że ma do czynienia z dobrze zorganizowaną i śmiałą bandą przestępców.

Wiedzano ogólnie, że Ludovic Marmont nie był człowiekiem angażującym się lekkomyślnie w sprawę, dającą mu małe korzyści i pewność, że on jest inicjatorem zamachu, dokonanego w pensjonacie „Donay”, kazała przypuszczać, że nie ograniczy się on do zabrania bezwartościowego pierścienia i notatek naukowych.

Dwa razy już od początku swojej działalności Wiliam Tharps spotykał się z Ludoviciem Marmont i pomimo niezwyklej swojej przezorności i zręczności, nie potrafił go ująć w swoje sieci.

Obecnie detektyw znajdował się w gabinecie swoim, gdzie już od trzech godzin blisko, paląc papierosy i przebiegając niecierpliwie pokój, zastanawiał się nad dalszym planem działania.

Nagle, jak gdyby poruszony jakąś dobrą myślą, podbiegł do aparatu telefonicznego mieszczącego się przy biurku i gorączkowo zadzwonił. Po chwili uzyskał połączenie z dyrekcją policji. Rozmowę podjął sam pan Dumont i ze słów mojego przyjaciela poznałem, że oczekuje jego przybycia.

Tego właśnie pragnął Wiliam Tharps. Odstąpił spieszenie od telefonu i zadzwonił na swojego służącego, Jima.

— Płaszcz podróżny i czapkę! — rozkazał krótko — A ty, Synhamie, towarzyszyć mi — dodał zwracając się do mnie.

Za chwilę, już ubrany w obszerny, ciemny płaszcz i czapkę, która zakrywała mu pół głowy, pociągnął mnie do wyjścia.

— Gdzie idziemy? — zapytałem, kiedy znaleźliśmy się na ulicy.

— Zaraz się przekonasz. Przedewszystkiem udamy się do twojego mieszkania, bo zabieram cię na całą noc ze sobą.

— Na całą noc? — zawołałem zdziwiony.

— Tak. Wezmiesz ze sobą płaszcz podobny i czapkę. Masz zapewne coś takiego w swojej garderobie?

— Mam.

— To doskonale.

Gwizdnął na przejeżdżającą dorożkę i w kilka minut później stanęliśmy przed domem, gdzie mieszkałem.

— Weź ze sobą broń, — rzekł Wiliam Tharps, kiedy wysiadałem z powozu — Może się przydać. Pospiesz się, ja tu czekać będę na ciebie.

Skinąłem głowę i pobiegłem na schody.

Idąc za jego radą, zarzuciłem płaszcz na ramiona, na oczy nasunąłem czapkę i do kieszeni wsunąłem niewielki rewolwer, doskonałej marki „Werbley”.

Następnie oznajmiłem służącemu, żeby na mnie nie oczekiwało, gdyż powrócę dopiero nazajutrz.

— Czy pan zauważył telegram, który złożyłem na biurku w gabinecie? — rzekł służący, kiedy już wychodził miałem.

— Nie! — odrzekłem — Kiedyż przyniesiono go?

— Przed godziną może. Czy mam go tu przynieść?

— Nie potrzeba.

Powróciłem do gabinetu i spieszenie rozerwałem papier.

— „Sprawa Lebrun-Montier — powracaj jutro” — brzmiała treść depeszy.

— A, do dyabła! — mruknąłem, niezadowolony z tej niespodziewanej przeszkody.

Zajrzałem do księgi zapisków, zdziwiony, że nie uprzedzono mnie wcześniej o tym terminie.

Sprawa Lebrun-Montier był to proces cywilny, w którym objąłem zastępstwo bogatego fabrykanta z Lyonu. Wzywano mnie właśnie, abym tam się stał nazajutrz.

Miałem wobec tego zaledwie czas przejrzeć dotyczące akta, przygotować ostateczną obronę i wyjechać pospieszonym pociągiem do Lyonu.

Byłem bardzo niezadowolony z tego obrotu rzeczy. Żał mi było opuszczać Wiliama Tharpsa na samym początku wyprawy, która mogła przedstawić wiele niebezpieczeństwa, skoro nakazał mi uzbroić się do niej.

A jednak nie mogłem odłożyć sprawy z Lyonu i zawieść mojego klienta. Był to człowiek znany, wpływowy i pragnąłem tryumfalnie poprowadzić obronę, wiedząc, że sukces ten nie będzie bez wpływu na dalszą moją karierę prawniczą.

Nie było jednak wiele czasu na rozmyślanie. Zbiegłem ze schodów, aby uprzedzić mojego przyjaciela, że mu dalej towarzyszyć nie mogę i podałem mu otrzymany telegram. Przebiegł go powoli, lekko brwi marszcząc.

— Zaczyna się już! — rzekł, wzruszając ramionami — Ale trudno. Siadaj, pojedziesz ze mną kawalek, a potem zwrócę ci wolność, jeżeli tego żądasz koniecznie.

Przedstawiłem mu konieczność przejrzenia aktów, cokolwiek zaniedbanych.

— Będziesz jeszcze miał dosyć czasu na to! — odpowiedział mi stanowczo — Siadaj, Synhamie.

Musiałem wypełnić jego żądanie i wskoczyłem do powozu. Tharps rzucił dorożkarzowi adres, ale nie był to ten, którego się spodziewałem.

— Więc nie jedziemy do dyrekcji policji? — zapytałem go.

— Nie! — odpowiedział krótko.

W chwilę później zatrzymaliśmy się przed biurem pocztowym. Wiliam Tharps wyskoczył z powozu, a ja poszedłem za nim.

— Dowiemy się tu czegoś ciekawego! — rzekł do mnie, uśmiechając się.

— Tutaj?